ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 15. Września 1892. Nr. 18.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Jaksowa chodziła chmurna jak noc, krzątając się niby koło wieczerzy. Gdy wszedł nie odezwała się do syna, usiadła na ławie naprzeciw niego, sparła na łokciu i patrzała w twarz swojego dziecięcia.

— Hej! — odezwała się długo przemilczawszy, — myślałam, że ci się zatęskniło do starej matki, a tyś gnał na złamanie karku, nie do mnie, ale do tych kukieł białych! Nie kłam przedemną, wiedziałeś, że one tu są, nie dla mnieś tu jechał a dla nich!

Jaksa poczuł się mężem i odrzekł śmiało:

— Usta się moje nigdy łżą nie zmazały, nigdy! nigdy! Szukałem Petrkowej, nie taję, alem nie wiedział, że tu jest. Do ciebie mi serce tęskniło jak zawsze.

Matka wskazała ręką w stronę izb naprzeciwko.

— A do tamtej, do tamtej, to ci się nie tęskniło?

— Nie skłamię, tęskniłem i za nią, tak już musi być, bo w tem wola Boża.

Stara wstała od stołu. Milczeli oboje. Nie mówiąc nic puściła syna spać.

Gdy w komorze legł sam Jaksa, nim mógł pomyśleć co ma czynić z sobą, ze znużenia wielkiego sen go ogarnął. A że kilkoro nocy spędził drzemiąc tylko na siodle lub pod drzewem, gdy raz padł na posłanie, objęła go żelazna moc snu i trzymała do rana.

Matka już budziła prządki i ogień rozpalać kazała, a on jeszcze jak legł na jednym boku, ciągle kamiennym snem odpoczywał.

Dzień dopiero biały powieki mu otworzył. Nim ruszył z posłania, rozmyślać począł. »Co tu pocznę? Nie godzi mi się zostać a nie chce się jechać? Co pocznę?« Tak dumając a przewracając się, doczekał aż mu matka sama polewkę przyniosła; spojrzał na nią z obawą. Twarz miała smutną i uśmiechniętą.

— Pij i jedz — rzekła — nie dąsaj się, jam ci nie wrogiem, tyś dziecko moje…

Pocałowała go w czoło.

— Niech się dzieje wola Boża!

— Matuś rodzona! — rzucając się jej na szyję, zawołał Jaksa — ty mnie kochasz, ty mi tego nie wzbronisz!

— Albo ja ci bronić mogę? — poczęła stara. — Ja? Tyś mężczyzna nie dziecko, ani się pytać powinieneś o cudzą wolę, tylko swoją mieć. Plunęłabym na ciebie! Jedno wiedz. Weźmiesz słabą łątkę, tylko łzy z nią, bo to sił do życia ani do szczęścia niema! Nie daj Boże! A no... Bóg z wami!

Nie mówili więcej, odeszła prędko. Jaksa dumał chodząc dzień cały. Błogosława nie pokazywała się do południa. Żyć tak z nią na zamku, stać na straży, łapać wejrzenia, zapominać o wszystkiem nie myśląc jeno o sobie,, błogo było, ale się nie godziło rycerskiemu dziecku.

Z południa poszedł Marek do Petrkowej i rzekł:

— Muszę ztąd z mojimi ludźmi do książąt i do pana Petrka,... może mi co do niego nakażecie? Pomyślcie, abym miał co odnieść.

Błogosława spojrzała nań rumieniąc się.

— A kiedyż w tę drogę? — zapytała Petrkowa.

— Bylem ludzi moich zgromadził, dziś po nich wyślę zawołanie, za kilka dni pewno pociągnę — rzekł Jaksa wzdychając.

Od Petrkowej poszedł do matki mówiąc:

— Ciągnąć mi trzeba... nie może być inaczej.

— Wiedziałam ja, że trzeba — odparła. — Wojna to darmo, wojakowi za piecem siedzieć srom, kisnąć tu z babami niezdrowo. Jedź, wypędziłabym cię sama. Nie czas się tu miłować, kiedy drudzy giną.

Tegoż dnia po włościach Jaksy, do Miechowa i za Miechów biegli dziesiętnicy i sotnicy na wojnę wywołując lud zdatny i pędząc do Komorowa. Kupami przychodzili z siół młodsi zbrojni, ale jak to czasu takiej wojny być musiało, licho i po domowemu, w siekiery i oszczepy. Z leśnych osad mieli niektórzy łuki, niektórzy tarcze lipowe, kaftany skórzane, reszta kożuchy proste, pałki nasiekiwane. Więc co było na zamku broni z dawnych czasów, zaczęto lepszym rozdawać, stanowić starszyznę, dziesiętników i obozowe straże. Stara Jaksowa sama szła patrzeć i gromadom piwo wytaczać kazała. Rada teraz była z syna i dumna nim.

Dopiero gdy sami się z sobą znaleźli wieczorem, a opowiedział jej Jaksa, bez przechwałek ale szczerze, jak się mężnie księciu stawił, aby Petrka ratować, jak się ważył wszędzie, życia nieszczędząc, gdzie powinność kazała, całować go poczęła w głowę, ściskać i twarz jej chmurna rozjaśniła się radością.

— Idź tak dalej! — zawołała — ojciec twój takim był, tobie innym się nie godzi być.

Ostatniego dnia, gdy już z zebranymi ludźmi ciągnąć przychodziło, nadjechał ks. Marcin. Słyszał on już o tem, co się działo w Komorowie, chciał się przypatrzeć oczyma własnemi.

Stara zobaczywszy go, poszła na przywitanie z uśmiechem dwuznacznym, wskazując na drzwi, za któremi siedziała zamknięta Petrkowa.

— Wyście to mnie, ojcze, biedy tej naprowadzili!

— Ja się tego nie wypieram — rzekł ks. Marcin, — wyście się nadąsali, a może się już i cieszycie?

— Co mam robić — odezwała się Jaksowa po swojemu — muszę syna słuchać, gdy męża nie mam! Ale ani on ani ja długiej z tego pociechy mieć nie będziemy!

— Jam tu przybył nie o tem z wami rozprawiać, — odezwał się ksiądz, — ale radzić kędy ciągnąć. Książęce Władysławowe wojska są wszędy, dzicz po gościńcach potokami płynie. Bić się z niemi samemu nic potem, trzeba do kupy się zbierać, a jak się nasz dostanie do gromady?

Nadszedł właśnie Jaksa i księdza w rękę pocałował.

— A lasami! — rzekł krótko.

— Byle wam ich starczyło — odparł ks. Marcin, — i byleście w porę

nadążyli, bo siły się pościągały nad Pilicą i bitwa za pasem.

— Więc dniem i nocą ku Pilicy pociągniemy, — rzekł Jaksa. — Bóg da, że w porę staniemy, aby Władysława bić i gnać!

Ks. Marcin pokiwał głową.

— Któż wie, kogo pobiją? — rzekł cicho. — Pogan wam życzę przeciw sobie mieć, nie Władysławowych ludzi; a nuż Jaksa na Jaksę następować będzie musiał, i brat się potykać z bratem? Niedobra to wojna, odwróć Panie. Prosty lud i w dwu siołach sąsiednich nie czuje się do jednego rodu, ale wy, rycerscy ludzie jednego zawołania, co poczniecie?

— Bóg łaskaw — odezwał się Jaksa — my może nic poczynać nie będziemy potrzebowali, bo co jest poczciwych staną po stronie książąt, a Władysław zostanie z najemnikami swojemi.

— Amen! — zamknął ks. Marcin.

Gdy wsiadać na koń przyszło, poszedł Jaksa jeszcze do Petrkowej żegnać się. Stara matka oczyma tylko powiodła za nim, mrucząc:

— Niech już czyni jako chce!

A było to żegnanie osobliwe, bo w niem narzekania więcej niż dobrych słów Jaksa posłyszał. Pieszczonej niewieście wszystko tu w niesmak szło, czem ją karmiono, jak cieszono, przez co los jej osładzać chciano, za każdą więc sposobnością skarzyła się tylko i bolała nad sobą. I teraz zamiast poleceń do męża, rozwodziła żale nad dolą własną.

Płakała za utraconą wielkością swą, po życiu przeszłem i wszystkiem, co je przypominało. Nie lubiła szorstkiej męzkiego ducha gospodyni, nie podobał się i syn, ni ten stary dwór, w którym znalazła przytułek. Wszystko dla niej szło opak, a że córka była z nią zawsze, na Błogosławę spadały łzy, żale i kwasy nieszczęśliwej; Błogosława milcząc znosiła wszystko, ażeby nie pokazać że cierpiała; gdy obcy patrzali na nią, uśmiechała się im smutnie.

Gdy Jaksa przyszedł opowiedzieć się, że jedzie, a dodał, że może do pana Petrka przedrzeć się potrafi i zaniesie mu, co poleconem zostanie, zapłakała kniahinia, podniosła głowę, białemi ramionami ruszyła pogardliwie. Zdawało się, że nic nie miała do nakazania biednemu ślepcowi, na którego narzekała ciągle, że z winy jego w to nieszczęście popadła.

Błogosława widząc, że matka milczy, odezwała się cicho:

— Powiedzcie ojcu, niech nas do siebie zabierze, radaby matka i ja z nim i Światosławem być.

— Dziś to niemożliwa — rzekł Jaksa, — wiecie, że przez zwojowane ziemie przedrzeć się trudno. Da Bóg lepszy czas, uczynicie jak wola. Przebaczcie, jeśli wam tu u nas nie wesoło i nie zaciszno i niemiło może, cóż robić? Myśmy z matką do prostego życia nawykli.

Petrkowa nic nie odpowiedziała, poruszyła głową, rozpłakała się, rzuciła ręką, zakryła oczy i pochyliła się na poduszkę. Jaksa spojrzał na dziewczę oczyma błagającemi, zarumieniło się.

Matka widzieć nie mogła, wyciągnęła mu rękę i ścisnęły się ich dłonie, bez słowa, w milczeniu.

— Wracajcie! wracajcie zdrowi! — szepnęła po chwili Błogosława. — Niech was Bóg prowadzi i odprowadza. Modlić się będziemy.

Głos zamarł jej w piersiach, zakryła oczy, Jaksa wysunął się z izby...

A gdy siadał na koń, obejrzał się jeszcze ku dworowi i w okienku mignęły mu włosy złote... Ludzie już wrotami tłumnie ciągnęli w pole za chorągwią białą.

XII.

Jak gród grodem stał nad Cybiną i Główną, nigdy tu jeszcze takiego zbiegowiska ludu nie było jak teraz, gdy Poznań książę Władysław oblegał.

Jak okiem sięgnąć rozkładał się do koła obóz Władysławowy, albo raczej kilka obozowisk połączonych z sobą.

Stały jedne przy drugich szałasy, jak grzyby z ziemi wyrosłe, ciasno zbite, dalej namioty białe, szare i pasiaste, i szopy naprędce poklecone, a w po-

środku na pagórku widać było, niby dwór ogromny namiot pański, nad którym wysoko czerwona wiała chorągiew. Wiała wysoko, dumnie, zdając się urągać wieżycy na zamku oblężonym, która też czoło podnosiła do góry, a na niej tkwiło także czerwone znamię królewskich dzieci.

Niewielki gród, choć warowny, wśród tej okolicy gęsto, szeroko ludem nabitej, zdawał się jakby orzechem w potężnej dłoni, co go ścisnąć mogła i na miazgę zgruchotać.

To też na zamek ów patrzano z obozu księcia Władysława, jako na łatwą zdobycz, którą każdej godziny pochwycić było można.

I książę Władysław teraz inaczej myślał, innego się spodziewał, niż gdy z pod Pilicy sromotnie uchodzić musiał, gdzie go bracia na głowę pobili. Coraz wychodził z namiotu swojego, i w boki się ująwszy, spoglądał na gród, bo w nim zebrani byli wszyscy, których ująć chciał, aby wojnę zakończyć. Bracia młodsi czterej, Petrek zdrajcą mianowany, Wszebór zdrajca drugi, a mnodzy inni, których zdrajcami zwano.

Na grodzie oblężonym tak cicho było, tak się wydawała pusto, jakby go już rozpacz ogarnęła, i oniemiła, albo nadzieja karmiła niepojęta.

Czasem z wieżyczki nad tłumem słychać było dzwonek wołający na modlitwę, niekiedy trąby zwoływały ludzi, potem na wałach, za ostrokołami i przymurkami ledwie się gdzie głowa z hełmem pokazała i znikła.

Na wieży tylko grodowej czasem widać było wchodzących kilku zbrojnych, co się po okolicy rozglądali. Widok jaki się z niej rozpościerał, najmężniejsze mógł strwożyć serce.

Tysiące koni pasło się po łąkach, tysiące ludzi obsiadało ogniska, gwar, jak z kipiącego kotła, dzień i noc nad obozem się unosił; gwar zmięszany dzikich pieśni, krzyków ludzi, rżenia koni, beczenia i ryku stad na rzeź pędzonych, niezrozumiałe brzęki i szczęki broni i ruchów tłumu.

Osobną ławą leżeli Połowce, prawie bez namiotów i osłony, na gołej ziemi u kotłów swoich. Kupa ich każda kocioł swój miała i do niego się garnęła, a na tykach pozatykane były znaki ich dziwne, ogony końskie i pierze a skrzydła jakichś ptaków.

Czasem na małym koniu, przytułony do niego, jakby z nim zrosły, człeczek mały, nogami brzuch jego obejmując, zwieszony nad grzywą, przesuwał się między namiotami, schylał się ku ziemi, chwytając z niej co chciał, zsuwał ze szkapy, wskakiwał na nią, nie wstrzymując w pędzie.

Czasem dwu się ich uganiało z oszczepy, podrzucali je w górę i łapali, piskiem dzikim napełniając powietrze. U ognisk gdzie niegdzie odprawiały się jakieś obrzędy, stali ludzie w milczeniu, nagle jeden z nich padał, wił się pieniąc i wrzeszcząc, a drudzy jak szaleni biegali w koło, póki nie popadli znużeni, i nie nastała cisza grobowa.

Indziej związanych trzymano jeńców na powrozach, owdzie przebierając pobrane łupy, ucinano łby wołom, odzierano ze skór barany i pieczono je na ogniach i kamieniach. Tu i owdzie stały kadzie i beczki, a gromady leżały przy nich. Górą po nad tem unosiły się kruki i gałki, jakby już sobie ludzi na żer znaczyły, i na nich trupy zmawiały.

Namiot pański zdala poznać było można, bo był ogromny płatami szkarłatu okryty, a pobudowany tak, aby książęcia, jego dwór, kuchnie i czeladź mnogą pomieścił.

W pośrodku namiotu wrota na przestrzał stały otworem, aby mógł wóz zajechać w pośrodek i stać pod płócienną od słoty osłoną. W prawo poprzedzielane ściankami i opłotki, były izby pańskie, księżnej, starszyzny kilku. U wnijścia straże chodziły, psy się wylegiwały na słońcu. Było przed południem, wojsko wszystkie odpoczywało, nie miano się czego spieszyć, gród był w ręku. Otaczali go do koła, nie siłą, to głodem wziąć mogli, lada chwilę strwożony musiał się poddać. Czy dziś wieczór czy jutro rano szturm doń przypuścić, wszy-

stko już było jedno, nie mógł mieć znikąd ratunku.

Książę Władysław siedział na pniu pokrytym suknem, a dumał sobie roztargniony. Księżna się na siedzeniu miękkiem naprzeciw niego rozpościerała. Patrzali na się, Agnieszka tryumfowała, błogo jej było.

— A cóż? — mruczała, spoglądając na męża z wyrzutem jakimś i pogardą — a cóż? nie stałoż się jakom mówiła? Tyś się chciał układać po Pilicy, a oto ich wszystkich w garści mamy, i już nie ujdą nam!



Matka Boska z Kevelaer.

Władysław patrzał w ziemię.

— Cóż z niemi uczynimy? co? — zapytał.

Agnieszka wstrząsnęła się z odrazą i niecierpliwością.

— Cóż? czy jeszcze pytać? Czy się to żywi, co szkodliwe?

— Na wygnanie ich wszystkich — odezwał się jakby nie słysząc Władysław. — Pójdą za siostrą Gertrudą… pójdą!

— Ażeby ztamtąd wrócili ze sprzymierzyńcami? — zaśmiała się Agnieszka. — Albo to niema zamków i lochów dla nich, gdzie bezpiecznie siedzieć mogą, dopóki nie wyzdychają.

Książę ciągle był z myślami swemi i kończył nie zważając na żonę.

— Jeden Petrek głowę da. Temu nie przebaczę, a i Wszebor wart pod topor, ale stary człek… stary człek!

— Hm! Petrek! — śmiała się księżna — a co nam po jego głowie! Gdy nie stanie książąt, co nam ten robak szkodzi? Starszych oślepić trzeba, młodsi…

Nie dokończyła, bo Dobek podniósłszy zasłonę, wszedł do nich.

— Na grodzie się coś ruszać zaczyna — rzekł — ludzie się kręcą… Pewnie posły wyprawią o łaskę prosząc. Co czynić, gdyby zażądali rozmowy?

— Przedemnie ich prowadzić — odezwał się Władysław. — Tu.

— Nie potrzeba słuchać żadnych posłów — przerwała Agnieszka. — Niech książęta przyjdą sami, i co przedniejsi z niemi, topór się rozmówi, i koniec będzie!

Na wykrzyknik ten Dobek nie rzekł nic i kończył swoje.

— Mówią, że u nich już wody nie ma, studnie powypijali, reszta wyschła, pragnienie panuje straszne, lud mrze.

Zaśmiał się Dobek.

— Poddadzą się, nie dziś to jutro — dokończył z obojętnością Władysław.

— Nie ma wątpliwości — dodał Niemiec. — Byle nie zakopali wprzódy skarbów swych, które książęta zewsząd tam pościągali, łup będzie ogromny. Cudzym ludziom do grodu nie trzeba się dać ani zbliżyć.

Książę Władysław głową to potwierdził, wstał i wyszedł się znowu cieszyć widokiem milczącego grodu, który, jak skała ruchomem morzem głów ludzkich stał otoczony.

W istocie na zamku w tej chwili ruch większy widać było, bieganie za murami, zbrojnych więcej u wałów. Tu i owdzie stożkowaty szyszak błyszczący wytknął się do góry i zniknął.

— Sposobią się już do poddania, niechybnie — rzekł w duchu książę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PODAREK WDOWI.

(Wspomnienie z 1621 roku.)

Rojno i gwarno było raz w Warszawie;
Ludzie ciekawi ciągną, jak żórawie,
I suną tłumnie, jak rzeka wezbrana,
Na stare miasto, do świętego Jana.[1])

Co to ma znaczyć? Ot w starym kościele,
Gdzie dostojników i ludu tak wiele,
Wobec królestwa[2]) na łask uproszenie
Wielkiej chorągwi dzisiaj poświęcenie.

Wkrótce z nią ruszy Władysław, syn króla,[3])
Na karkach Turków z rycerstwem pohula,
By z pod Cecory[4]) pomścić krzywdę srogą,
Gdyż pod Chocimem[5]) zebrali się mnogo.

Dzielą się wreszcie tłumy, gwar ustaje,
I ku zamkowi orszak się udaje.
Przodem królewicz, dobrze wszystkim znany,
Na ślicznym koniu, po polsku ubrany.

Przed nim niósł rycerz, jako znak hetmański,
Sztandar przepyszny, co w świątyni Pańskiej
Dopiero świeżo został poświęcony,
A był świetnemi barwy ozdobiony.

Pośród nich jaśniał z krzyżem orzeł biały,
A w koło niego jak gwiazdy błyszczały:
Za chwałę krzyża! -- znaki wyzłacane...
Tuż zaś kroczyły tłumy nieprzejrzane.

Panowie, szlachta, zbrojni, lud roboczy;
Na złoty napis wszyscy swoje oczy
Z rzewnym zapałem zwracają bez miary,
Bo sztandar ma wieść przeciw wrogom wiary.

I wszyscy pragną, żeby były łupy,
U stóp sztandaru krwawe legły trupy,
Bo wszyscy w sercach tę nadzieję mieli,
Że liczni bracia znajdą swych mścicieli.

Gdy cały orszak pod zamek domierza,
Szmer do około nagle się rozszerza;
Przez tłum uboga jakaś się przeciska,
Przed Władysławem przystanęła z blizka.

Królewicz, szczery nawet dla żebraka,
Wstrzymuje zaraz pysznego rumaka,
Nadstawia ucha i uprzejmie wzywa,
By rzekła, po co do niego przybywa?

Niewiasta klękła. Dając dwa bochenki,
Rzeknie w pokorze: »Przyjmij je z mej ręki,
A nie wzgardź darem ubożuchnej wdowy,
Która go składa bez wszelkiej namowy!...

Byś, Jasny Panie, z wysokiego rodu,
Z braćmi naszymi nie doznawał głodu,
Masz tu na wojnę te dwa bochny chleba,
A niech zwycięztwa użyczą ci nieba!«...

Królewicz wdzięcznie przyjął dar ten wdowi.
Któż radość ludu całego wysłowi?
We wszystkich błoga wstąpiła otucha;
Pomyślna wróżba uzbroiła ducha.

Poszczęścił Pan Bóg rycerstwu polskiemu,
To też wiadomo jest światu całemu,
Że pod Chocimem okazało męstwo
I najświetniejsze odniosło zwycięstwo.[6])

Józef Chmielewski.

[1]) Starożytny kościół metropolitalny i parafialny w Warszawie.

[2]) Dworu króla Zygmunta III, który, jak wiadomo, przeniósł stolicę Polski z Krakowa do Warszawy.

[3]) Późniejszy król Polski, Władysław IV, którego ojciec, Zygmunt III, wysyłał w pomoc hetmanowi, Karolowi Chodkiewiczowi, walczącemu pod Chocimem przeciw Turkom, w 1621 roku.

[4]) Cecora, miasto nad Prutem, oddalone o 8 mil od Jas, w dawniejszem województwie wołoskiem. Tutaj w roku 1620 pobili Turcy Polaków. Zginął sławny hetman, Stanisław Żółkiewski, w skutek czego kraj wołoski przeszedł pod panowanie Turków.

[5]) Chocim, miasto nad Dniestrem, w województwie wołoskiem. Pamiętne zwycięztwem Karola Ckodkiewicza nad Turkami w 1621 i Jana Sobieskiego w 1673 roku.

[6]) Odniósł je hetman, Karol Chodkiewicz, i rycerstwo nasze, ale niestety nie Władysław, królewicz, bo jak piszą, na innych zdał pracę rycerską, przybywszy pod Chocim do obozu, a sam przeleżał. Spełniło się jednak życzenie wdowy i ludu polskiego.

MATKA BOSKA Z KEVELAER.

(Z OBRAZKIEM.)

W prowincyi nadreńskiej, niedaleko miasta Geldern, leży miasteczko Kevelaer, słynące daleko i szeroko z powodu cudownego obrazu Matki Boskiej. W tym roku obchodzono tam z wielką uroczystością 250-letnią rocznicę dnia, w którym ten obraz tamże umieszczono, a nasi rodacy, zatrudnieni po fabrykach nadreńskich, wzięli udział w tym rzadkim obchodzie. Także i po inne czasy, mia-

nowicie w miesiącu Maju, udają się do Kevelaer liczne pielgrzymki, a między niemi i polskie, co im się chwali, bo zaiste tam na obczyźnie potrzeba Polakom polecać się przemożnej opiece Matki Boskiej, aby ich od złego zachować, a w dobrem utrzymać raczyła.

Od 1-go Czerwca 1642 roku czczą w Kevelaer obraz M. Boskiej. W owych czasach żyli w mieście Geldern małżonkowie Henryk i Mechtylda Buszmanowie, ludzie biedni, ale pobożni i cnotliwi. Pewnego razu, gdy Buszmann, który był handlarzem, do domu wracał i około krzyża, przy wsi Kevelaer stojącego przechodził, usłyszał takie słowa: »Zbuduj mi tu kapliczkę!« Napróżno oglądał się w około, chcąc dojrzeć, ktoby tak na niego wołał i odszedł. W kilka dni potem, gdy tamtędy przechodził, usłyszał po raz drugi te same słowa. a po kilku dniach po raz trzeci.

Jakkolwiek był bardzo biedny, postanowił posłuchać owego głosu i odejmując sobie prawie od ust, składał pieniądze na wybudowanie kapliczki. Żona Mechtylda dopomagała mu w tem pobożnem przedsięwzięciu.

W pół roku potem miała Mechtylda widzenie następujące: Wśród wielkiej jasności ujrzała pewnego wieczoru małą kaplicę z obrazem Matki Boskiej. Przypomniała sobie, że obraz ten widziała przed kilku dniami u żołnierza, który podobiznę cudownego obrazu w Luksemburgu, przyniósł w okolicę Geldern dla pewnego oficera, który w Kempten w więzieniu był trzymany. Ów żołnierz posiadał dwa takie obrazy i chciał jeden z nich Buszmanowej sprzedać, ale ona nie chciała go nabyć, bo żałowała pieniędzy, potrzebnych na budowę kapliczki. Buszmann, gdy o widzeniu żony się dowiedział, postanowił zacząć budowę kapliczki. Wspierał go w tem ówczesny probosz Kevelaerski, ks. Jan Szink.

Podczas gdy mąż budową był zajęty, żona udała się w ślady za żołnierzem, który owe obrazy wiózł. Tymczasem też żołnierz już był doszedł do Kempten i oficerowi obrazy oddał. Buszmanowej udało się dojść aż do oficera, a gdy mu widzenie swoje opowiedziała, podarował jej tenże jeden z obrazów. Gdy w końcu Maja 1642 roku kapliczkę wybudowano, umieszczono w niej obraz i od tego czasu zaczęła słynąć z cudów Matka Boska z Kevelaer.

Od 250 lat udają się katolicy do Pocieszycielki strapionych w Kevelaer i otrzymują pomoc i pociechę. W ciągu tych lat wydarzyło się wiele cudów, stwierdzonych przez władzę i w księgach zapisanych.

My katolicy nazywamy Matkę Boską Królową Niebios i uważamy ją za najpotężniejszą po Bogu władczynię. Przekonanie o jej mocy i wspaniałości, oraz o miłości Jej ku ludziom, sprowadza rokrocznie przed cudowne obrazy tysiące pątników. Kto takiej pielgrzymki nie odprawił, ten nie może wiedzieć, jakie uczucie miłości i rzewności ogarnie każdego szczerego katolika, gdy klęcząc przed cudownym obrazem z głębi duszy woła: »Matko Boska! Pocieszycielko Utrapionych, zmiłuj się nad nami!«

Kevelaer leży od nas bardzo daleko; kto nad Ren na robotę idzie, niech sobie upatrzy dzień i odprawi pielgrzymkę tamdotąd. A niech też innych do niej zachęci. Przed obrazem mogą śpiewać polskie pieśni. Kto zaś nad Ren się nie udaje, niech odwiedzi nasze cudowne obrazy. W dzisiejszych czasach, gdzie nowomodne pogaństwo głowę zuchwale podnosi, potrzeba, aby wierni katolicy jak najliczniej w pielgrzymkach udział brali a przez to we wierze się utwierdzili, innym obojętniejszym, dobrym przykładem świecili, innowiercom zaś gorliwość i żywość katolickiego ducha okazali.

KLĘSKA SKRZYDLATA.

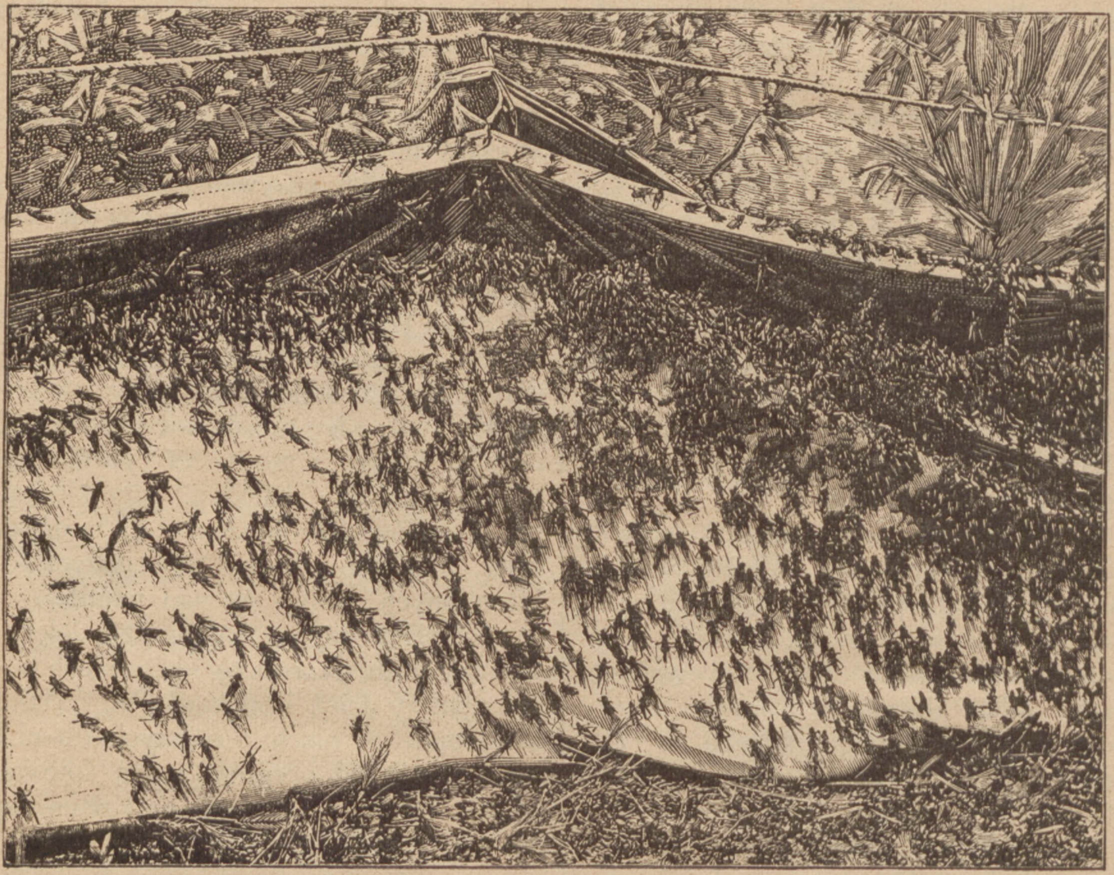
(Z 2 obrazkami).

Pojawienie się szarańczy w Afryce nie należy do wypadków nadzwyczajnych, Europę rzadziej nawiedzają, i Bogu chwała za to, bo to straszna klęska.

Pewien Francuz tak o tem pisze: Trzeba widzieć szarańczę przy robocie; trzeba osobiście w walce z nią wziąć udział, przepłynąć potoki żywe szarańczy, zalewające jak okiem sięgnąć przestrzenie, a podobne do olbrzymiej plamy palącego witryoleju; potoki, które nie pozostawiają nic po sobie prócz nagiej ziemi, przypominającej szkielet człowieka, ogryziony przez hyeny; trzeba wreszcie brnąć po kostki, w cuchnącej, kleistej warstwie owadów, aby mieć pojęcie o tej pladze, która trapi ziemię Afrykańską, zwaną Algierem.

Polecono mi zwiedzić okolice Sebdon, gdzie ludność miejscowa, przy pomocy wojska a pod umiejętnym kierunkiem, prowadzi zaciętą walkę z owadem. Walka ta zdaje się będzie zwycięzką ale nie można powiedzieć, aby już była ukończoną. Pod obłokami wciąż przeciągają zastępy szarańczy a z łona ziemi wychodzą nowo wyklute, odradzają się z własnych popiołów. Ludność musi czuwać nieustannie, inaczej spotkać ją może śmierć głodowa.

Ciąg szarańczy rozpoczyna się z dobą upałów; upadłszy na ziemię zaspakaja swój głód, następnie znosi jajeczka, które



Barykada płócienna, tamująca pochód szarańczy.

zakopuje w gruncie i umiera. Jajeczka są pozlepiane w gronka i powleczone kleistą masą; stare umieszczają je na 2—3 centymetry pod ziemią. Gdy wymrą stare nie sądźcie, iżby był koniec klęsce; ukryte w gruncie jajeczka przekształcą się na żarłoczną falę, a nic ich w ziemi zniszczyć nie zdoła, ani susza, ani deszcze, ani najmroźniejsza nawet zima.

W dziewięć miesięcy, na wiosnę, rozwymaga nawet zbytniego ciepła; na mojej dłoni z poczwarek wychodziły owady, zanim zdołałem papierosa wypalić. Pomyślmy teraz, że w metrze kwadratowym gruntu przechowuje się 30,000 owadów, i że szarańcza zajmuje dwa, trzy lub więcej hektarów powierzchni, a przyznacie, że obliczyć tej mnogości niepodobna, jak niepodobna zrachować kropel wody w oceanie.

Wyklute owady są wielkości muchy,



Mierzenie jajeczek szarańczy, zebranych przez arabów płatnych od ilości.

poczyna się przeszkałcenie owadów z szybkością do uwierzenia trudną. Ziemia drży, usuwa się, jak gdyby była kopaną od spodu, i nagle pokrywa się myriadami drobnych ciałek, podobnych do ziarn ryżu. Są to pozlepiane poczwarki; każde ziarnko zawiera ich do trzydziestu. Potrzebują one pięciu minut aby zrzucić rogową osłonę i ujawnić swoję żarłoczność. Przemiana ta nie nie posiadają jeszcze skrzydeł, ale natychmiast rzucają się na wszystko co zielone. W mgnieniu oka bujna łąka zmienia się w przestrzeń nagą, posępną, dziką. Wtedy szarańcza opuszcza spustoszoną miejscowość i płynie dalej. Kroczy w zwartych szeregach, podskakując; fale jej często na milę są długie. Towarzyszy temu pochodowi dziwny łoskot, przypominający odgłos ulewy; zdaje się wtedy,

że mamy rzeczywiście przed sobą olbrzymią strugę witryoleju, wypalającą wszystko, czego się dotknie. Ta struga niszcząca, gruba na kilkanaście centymetrów, powstrzymuje nawet pociągi kolejowe, zmuszając je do używania rozgarniaczy. Nic jej wstrzymać nie potrafi, zatrzymuje się tylko tam, gdzie spotka paszę; pochłonąwszy ją, toczy się dalej, ścigana przekleństwem ludzkiem.

Młode owady rozwijają się szybko a wraz z siłą i zwinnością wzmaga się ich żarłoczność, wreszcie dostają skrzydeł, znoszą jajeczka i umierają. Gdyby człowiek nie prowadził z niemi zaciętej wojny, wszelka roślinność mogłaby zniknąć z powierzchni naszej ziemi. Niszczenie jajeczek przed wykluciem nie jest środkiem dostatecznym; w jednej małej wiosce zniszczono w ciągu tygodnia 20 milionów jajeczek a była to zaledwie cząsteczka armii najezdniczej. Trzeba było szukać sposobów innych. W okolicach gdzie się ma wykluć szarańcza, afrykanie stawiają barykady (cypriotes); są to olbrzymie sztuki płótna, naciągnięte na pale, obszyte u góry szerokim pasem lakierowanej skóry. Szarańcza, krocząc przed siebie, wdziera się na płótno, a doszedłszy do skóry zsuwa się na dół; utworzone z owadów wały natychmiast zmiatają do wielkich dołów i przysypują je niegaszonem wapnem. W innych okolicach zbierają szarańczę do worów i depcą ją lub polewają trującemi płynami.

Tak się prowadzi walka z drobniejszym gatunkiem szarańczy, ale walka staje się rozpaczliwą gdy nadciągnie gatunek największy (acridium migratorium). Ci drapieżcy mają ciało na palec grube a szerokie 5—6 centymetrów; ciągną tak olbrzymiemi chmurami, że przez całe godziny zasłaniają słońce; przeciwko nim moc ludzka albo nic poradzić nie może, albo bardzo mało; są tak żarłoczne, że ogryzają korę drzew, nie znajdując trawy lub zboża. Sześć tygodni wystarcza na wyklucie się ich z jajeczek.

Szarańcza odwiedza czasem i Europę a nawet do nas zalatuje. Długosz, dziejopisarz polski pisze w r. 1336: »Poniosło Królestwo w tym roku ciężką klęskę, jakich mało bywa przykładów. Niesłychane mnóztwo szarańczy, podzielonej na ćmy i roje nawiedziło Polskę, wtenczas gdy zboża i zasiewy już się były wysypywały z kłosa. A pojawiła się w takich chmurach, tak mnogo i gęsto, że słońce swoim cieniem zakryła; tak zaś grubą warstwą zaległa ziemię, że się w niej kopyta końskie chowały. Wszędzie zatem, gdziekolwiek padła, nietylko rośliny ale i ziarna żarłocznie pojadła.«

Dwa obrazki w dzisiejszym numerze przedstawiają 1) zaporę czyli barykadę na wstrzymanie pochodu szarańczy, 2) mierzenie szarańczy złapanych, za które rząd płaci od kubła.

NAD KRATEREM WULKANICZNYM.

(Dokończenie).

Obszerna kotlina, jaką się przed nami rozciągała, była pełna masy ognistej. Po za nią, w kierunku północnym, zasłaniał dalszy widnokręg szczyt Etny w kształcie pyramidy; ku zachodowi szumiały i huczały trzy kratery wybuchowe, wyrzucając w kilkuminutowych przestankach z łoskotem do grzmotu podobnym olbrzymie snopy ogniste do wysokości 150 do 200 metrów. Sprawiało to na nas wrażenie nie do opisania! Co do mnie, to starałem się mianowicie dociec, z czego się te snopy ogniste składały. Otóż były to nieprzeliczone drobne kamyczki, rozpalone do białości; znajdowały się między nimi jednakowóż i takie, które były, o ile ocenić mogłem, wielkości głowy ludzkiej, niektóre dochodziły

nawet do 3 i 4 metrów sześściennych objętości. Dobiegłszy do punktu kulminacyjnego, rozpadywały się one w wielkich łukach na wsze strony, nie zbyt szybko, z czego wywnioskowałem, że kamienie te musiały się składać z lżejszego, dziurkowatego materyału, może z żużla pumeksowego, jakem to przed kilku laty miał sposobność zauważyć przy wybuchu wulkanicznym na jednej z wysp Liparyjskich, Volcano. Ponieważ kratery mają kształt ostrokręgów (kręgli), przeto kamienie upadłszy na powierzchnią krateru w ogromnych podskokach dążyły niepowstrzymane na dół, pozostawiając po za sobą długie pasma ogniste. Zdumiewały nas przytem niezwykłe, uderzające różnice kolorów płomieni. Podczas gdy snopy ogniste, z krateru wylatujące ku niebu, były koloru białego, a co najwyżej żółtawego, masa ognista w samej kotlinie była czerwona jak krew. Podobnej czerwoności płomieni nigdy jeszcze dotąd nie widziałem.

Ze wschodu otaczały kocioł ognisty również kratery wulkaniczne, przedstawiające taki sam nieomal widok, jak co dopiero opisane. Od strony południowej natomiast był kocioł zupełnie otwarty. Ku południowi spływały też ogromnej szerokości strumienie lawy, wijące się na ciemnem tle ziemi, jak wstęgi złociste, bardzo piękne, a jednak ziejące śmiercią i niechybną zgubą na wszystko, czego się tylko dotknęły, niszczące wiekową pracę ludzką. Ze stanowiska, na którem się znajdowaliśmy, mogliśmy zupełnie dokładnie widzieć, jak masy te majestatycznie ku dolinie zdążały. Jak nam przewodnik opowiadał, spływała lawa w trzech kierunkach: na południe-zachód ku wsi Belpasso, zupełnie na południe (jak w roku 1886) ku Nicolosi, a trzecia odnoga skierowana była ku miejscowości Pedara.

Nasyciwszy oczy widokiem niezwykłego zjawiska, spuściliśmy się nieco w dolinę, chcąc się dostać do świeżego jeszcze, ale już stwardniałego strumienia lawy. W świetle pochodni, które teraz zapaliliśmy, ujrzeliśmy strumień jako stałą i silnie spojoną masę, z gruzów i rumowiska się składającą, wśród której gdzieniegdzie sterczały ogromne skały. Ponieważ skamieniała lawa prawie już zupełnie ostygła, postanowiłem bądź co bądź po strumieniu tem wdrapać się w górę i dójść tym sposobem aż do samego krateru. Z mych towarzyszów żaden nie odważył się puścić ze mną w tak osobliwą drogę, tylko jakiś młody chłopak wiejski przyłączył się do mnie, mimo iż go nikt do tego nie wzywał, widocznie ciekawością wiedziony. Przyznaję chętnie teraz, że gdybym był wiedział, co mnie później spotkać miało, ku memu przerażeniu, nie byłbym nigdy obstawał przy mem postanowieniu. Nadzieja, że zobaczę może coś i dowiem się o zagadkowej czynności niezbadanych dotąd jeszcze dokładnie podziemnych sił przyrody, wzięła górę nad rozsądkiem. Wyobrażałem ja sobie powierzchnię strumienia skamieniałego lawy jako powierzchnię prawie równą, a tymczasem rzecz ma się zupełnie inaczej. Głębokie szczeliny, ostre szczyty, kotliny i pagórki, leżące obok siebie w największym nieładzie, utrudniały na każdym kroku nasz pochód, tem więcej, że wierzchni pokład składał się z samego rumowiska, na którem noga się oprzeć nie mogła. Na dobitek złego potknąłem się na zakręcie i stoczyłem się w jedną z licznych, dość głębokich tu kotlin. Nie utraciłem wprawdzie życia, jak to łatwo po tem poznać, że opisuję ową wycieczkę, nieźlem się jednak poturbował, a ubiór na mnie wyglądał jakby na straszydle na ptaki! Nadto z przestrachem dotkliwie poczułem, że lawa w tem miejscu jeszcze bardzo a bardzo gorąca. Z biedą wydostałem się na wierzch, gramolę się jeszcze kilka metrów, a tu ziemia podemną jakby się paliła. Co teraz? A no, iść wyżej jeszcze. Wtem wpada mi na myśl, że towarzysze moi mieli tylko jednę jedyną pochodnię! Oglądam się, a ona już, już dogorywa. Gdyby zagasła, byłbym zgubiony! Wśród ciemności po prostu, musiałbym stracić kierunek, spadłbym w jaką szczelinę i zginąłbym nędznie, — taki mi niewesoły obraz mego położenia na-

suwały myśli do głowy. Natychmiast zwróciłem me kroki i biegłem co sił starczyło, leciałem formalnie! Już byłem tylko kilkadziesiąt kroków od czekającego na mnie grona oddalony, kiedy pochodnia zagasła, a ja zmęczony, bezsilny, uderzywszy nogą o kamień, padłem jak długi na ziemię. Pospieszono w tej chwili z pomocą i wnet znalazłem się wśród nich w bezpiecznem miejscu. Com się nasłyszał wymówek — słusznych, przyznaję — i wyrzutów, nie będę dopiero opisywał.

Po półgodzinnym odpoczynku wróciliśmy do naszych mułów, — jam szedł cicho i z zafrasowaną bardzo miną! Spocząwszy i tutaj na chwilę i posiliwszy zwątlone siły zabraną żywnością, a mianowicie kozim serem, kiełbasą z oślego mięsa (nawiasem powiedziawszy, znakomitą) i winem sycylijskiem, puściliśmy się w dalszą drogę. Dotąd jeszcze się jakoś trzymałem, teraz jednakowóż tak osłabłem do reszty, że następne dwie godziny przespałem na mule, kiwając się jak żyd w bóżnicy. Gdyby nie stary wieśniak, który ze szczególną pieczołowitością wziął mnie w swą opiekę, byłbym nieraz spadł i kark skręcił, bo droga była uciążliwa i nader stroma. Na chwilę zatrzymaliśmy się raz jeden jeszcze w miejscu, z którego dość dokładnie można było objąć okiem krater i jego najbliższe otoczenie. Ledwom spojrzał — zadrżałem! Skamieniały strumień lawy, po którym usiłowałem dojść do szczytu, żarzył się jak rozpalone żelazo! Trzeba wiedzieć, że strumień taki rozpala się z dołu, że nie prędzej spostrzedz można, co się dzieje, aż cała powierzchnia równocześnie się rozpali, aby pojąć, co się ze mną stać mogło. Gdyby się to było wydarzyło z godzinę prędzej, byłbym się niechybnie spalił. Straszna myśl! To też uczucie pewności, przenikające mą duszę, tak było błogie, iż go nie kuszę się wcale opisać. Po dalszych dwóch godzinach doszliśmy do końca strumienia i tu miałem dobrą sposobność zbadać dokładniej istotę jego. Mówi i pisze się zwykle o »strumieniu« lawy i to tak we mnie jak w wielu innych niezawodnie wyrobiło przekonanie, jakoby lawa była płynącą, a to wcale nieprawda. Jest to raczej masa stała i rozpalona, która skutkiem ciśnienia u krateru pomału się posuwa po ziemi. Proszę sobie wystawić ogromną górę z węgla kamiennego lub koksu do czerwoności rozpaloną i naprzód się posuwającą, — oto wierny nieomal obraz strumienia takiego. Górne pokłady poruszają się naturalnie szybciej niż dolne, gdyż te ostatnie napotykają na większe zapory i większe mają tarcie o ziemię, co powoduje, że górne pokłady zawsze się odrywają i spadują; przez to staje się strumień co raz szerszym, a na końcu płaskim. Wszystko, co strumień na drodze napotka, mury, domy całe, posuwa się wraz z nim dalej, strasznemu naciskowi nic się oprzeć nie zdoła. W odległości 15 do 20 metrów od strumienia jest jeszcze tak gorąco, że wszelka wegetacya ustaje, wszelka roślinność zasycha. Co chwilę ginęło w płomieniach jakie drzewo, zgonem swym przyświecając jak olbrzymia pochodnia strasznemu, zgubnemu pochodowi zbitej masy, a szła ona przez piękne kasztanowe i orzechowe lasy i najżyźniejsze okolice. Ratowano, co tylko było można; ścinano drzewa, wyrywano płoty a każdy z okolicznych wieśniaków zabierał tyle tyczek z winnicy, ile mu się podobało, ile muły unieść zdołały.

Zanim przybyliśmy do Acireale, już słońce na dobre weszło i dopiekało niezgorzej. Wobec niego łuna bijąca od krateru na niebie zagasła zupełnie. Olbrzymie chmury dymu unosiły się tylko wciąż jeszcze nad okolicą, a to dla nas było o tyle rzeczą dogodną, iż prawie całą drogę przebyliśmy w ich cieniu. W kilka godzin później byliśmy znowu w Mesynie, wprawdzie zmęczeni i strudzeni bardzo, ale z przekonaniem w duszy, iż byliśmy świadkami widowiska, jakiego drugi raz w życiu może już nie ujrzymy.

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem balon nadleciał tuż nad gromadę jeźdźców, pędzących za Józefem. Fergusson stanął na przedzie łódki z drabinką ze sznurów i dawał pilne baczenie, kiedy nadejdzie pora, aby ją spuścić. Balon leciał bardzo nisko nad ziemią.

— Ryszardzie, baczność! — zawołał Fergusson.

— Uważam! — odrzekł Ryszard.

W tej chwili znajdował się balon tuż za Józefem.

— Józefie, baczność! — zakrzyknął Fergusson i spuścił jeden koniec drabinki, który prawie ziemi się dotknął.

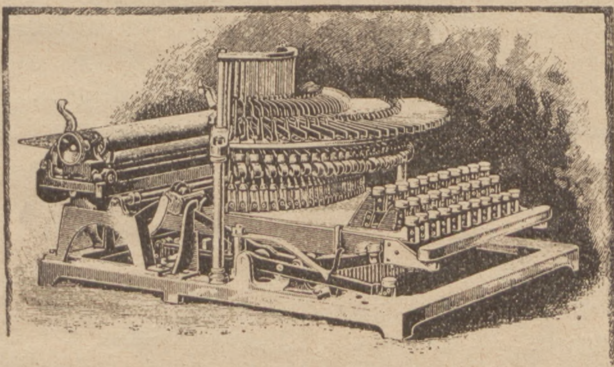
— Uratowany! Uratowany! — wołał Ryszard ze łzami radości.

— Zdołaliśmy mu się wywdzięczyć za to, że nas przed zgładą uratował — dodał Fergusson.

Józef leżał bezwładny na dnie łódki. Nie miał na sobie prawie żadnego odzienia a liczne rany na całem ciele wskazywały, jakie straszne przechodził koleje.

Towarzysze otulili go, jak mogli a Fergusson opatrzył rany.

Po kilku godzinach przebudził się Józef i zażądał koniaku, który mu zaraz podali. Potem znów zapadł w twardy sen.



Machina do pisania. (Obacz objaśn. rycin na str. 288).

Skutkiem wołania Fergussona, Józef obejrzał się i pochwycił drabinkę. W tej chwili zakomenderował Fergusson:

— Ryszardzie! Teraz rzuć!

Stało się wedle rozkazu.

Ponieważ balast wyrzucony z balonu był cięższy, niż Józef, przeto balon sunął zaraz o 150 stóp w górę. Drabinka huśtała się bardzo, ale Józef drapał się ku górze, a widząc się już w bezpieczeństwie, wykrzywiał się ku Arabom w taki sposób, że ani opisać nie można. Arabów ogarnęła prawdziwa wściekłość, ale cóż mieli począć.

Gdy Józef stanął w łódce, zawołał tylko: »Mój kochany panie!« i padł zemdlały ze znużenia.

Po upływie kilku godzin znów się obudził i zaczął się śmiać i zaraz opowiadać swoje przygody, ale Fergusson nakazał mu milczenie, bo przedewszystkiem powinien siły pokrzepić.

Tymczasem wiatr zwrócił się ku zachodowi. Ponieważ jednak nie był zbyt silny, łatwą było rzeczą, uczepić kotwicę w ogromnych gałęziach drzewa, zwanego sykomorą. Tak przepędzili noc spokojnie. Najspokojniej było Józefowi, bo spał on całe 24 godziny mocno.

— To najlepsze lekarstwo — rzekł Fergusson, — bo go pokrzepi i wzmocni.

Nad ranem, gdy balon znowu puścili, pokazało się, że wiatr bardzo kapryśny; co chwila się zmieniał. Raz pędził balon ku północy, to znów ku

południowi, ale wreszcie ustatkował się i pchał podróżników ku zachodowi.

Słońce już stało wysoko na niebie, gdy naraz Józef wytknął głowę z pod der, w które go otulili i śmiejąc się, zawołał:

— Dzień dobry panom!

— Witajże, nam witaj, kochany Józefie! — odrzekł na to Ryszard. — Jakże ci się powodzi?

— Doskonale — odrzekł Józef. — Jeszcze mi w życiu lepiej nie było, jak teraz. Przychodzę do przekonania, że nie ma dla człowieka nic lepszego dla zdrowia, jak wziąć dobrą kąpiel w Czadzkiem jeziorze, a potem odbyć podróż dla przyjemności, choćby z niejakiemi przeszkodami. Czy panowie tak samo myślicie?

— Poczciwy chłopcze, — odpowiedział Fergusson, ściskając mu rękę. — Ileśmy strachu wyżyli! Ileśmy się o ciebie nakłopotali!

— A ja dopiero! — odrzekł Józef. — Myślę, że mi uwierzycie, gdy powiem, żem się bardzo kłopotał, co się z wami stało. Zdaje mi się, że mój kłopot nie był mniejszy od waszego.

— Zawsze ten sam poczciwiec z niego! — zawołał Ryszard.

— Twoje poświęcenie — rzekł znów Fergusson — wyratowało nas. Gdybyś nie był wyskoczył, bylibyśmy wszyscy razem z balonem wpadli do jeziora i niezawodnie wszyscy zginęli.

— Kiedy tak, to nie warto o tem mówić, — odpowiedział Józef, — bo wyskakując, ratowałem też siebie. Gdyby mi to na myśl nie było przyszło, nie siedzielibyśmy teraz wszyscy w balonie, lecz leżeli na dnie jeziora krokodylom na uciechę.

— Poczciwe chłopczysko, — dodał Ryszard, — chce w nas wmówić, że nam usługi nie oddał, a przecie życie nam uratował. Ale opowiedz nam twoje przygody.

— Dobrze, ale najprzód pozwólcie, że te dzikie gęsi, które tam leżą, przyrządzę do zjedzenia, bo mam głód. Zresztą to moja służba. Choć na pewien czas dostałem terminatkę, nie gniewam się i zaraz kucharzować zacznę, jak dawniej.

Gdy to wykonał, zaczęli wszyscy jeść, a Józef opowiedział wszystko, jak było, o czem już się pisało.

Gdy w opowiadaniu swem doszedł do chwili, w której się w błoto zapadł, tak mówił:

— Myślałem, żem zginął, ale jednak się jeszcze gramoliłem, jak mógłem. Wtem czuję coś twardszego. Obmacuję i zdaje mi się, jakby to koniec liny był. Nie dowierzam sobie, ale chwytam i ciągnę. Nie mogę ruszyć, a więc widzę, że gdzieś przymocowany. Jak się tedy złapię tej liny, jak zacznę się za jej pomocą dobywać z błota, tak niedługo wylazłem z błota na stały ląd. Idę ciągle za liną aż dochodzę do drzewa i co widzę?... Oto kotwica balonu sterczy w gałęziach drzewa. Zaraz zmiarkowałem, żeście tam nocowali i nie mogąc kotwicy odczepić, przecięliście linę, która padła aż na owe błota. Całowałem linę z radości. Po tem, w jakim kierunku lina leżała, poznałem też, dokąd polecieliście. Nie tracąc czasu, poszedłem w tym kierunku. Szedłem prawie całą noc i nie mogę powiedzieć, aby mi się tak szło, jak po stole, ale zawsze lepiej, jak w owem błocie. Naraz wychodzę z lasu i widzę, jak w ogrodzeniu konie się pasą. Nigdy nie byłem dobrym jeźdźcem, alem sobie pomyślał, że w niektórych chwilach życia i największy niedołęga dobrze na koniu jeździć potrafi. Bez namysłu wtedy wskakuję na jednego z rumaków i zaczynam pędzić, jak wiatr ku północy, bo mi się zdawało, że balon w tę stronę poleciał. Pędzę przez osady i miasta, ale nigdzie nie zatrzymuję się, choć czasem nie przychodzi na myśl, że byłoby zupełnie w porządku, gdybym wstrzymał się i nieco zjadł. Ale naraz myślę sobie, żeby się mogło stać, iżbym zamiast dostać śniadania, mógł sam stać się śniadaniem dla ludzi dzikich, więc wolałem sobie tej przyjemności odmówić i pędzę a pędzę. Wreszcie wy-

jeżdżam na jakieś stepy. Dobrze — myślę sobie — będę mógł lepiej widzieć, czy się gdzie balon nie ukaże. Z jakie 3 godziny pędziłem tak przez stepy, naraz wpadam,... o! głupi zemnie człowiek! w sam środek obozu Arabów. Leżał on za wzgórzem, więc nie spostrzegłem go zawczasu. Robi się wrzawa ogromna. Ja zmykam, a gromada Arabów za mną... Widzicie, panie Ryszardzie! Teraz dopiero zmiarkowałem, co to jest polowanie. Żaden strzelec nie wie, co to jest polowanie, dopóki sam nie był tym, na którego polowali. Niech to strzelcy spamiętają, ale żadnemu z nich nie życzę, aby tak na niego polowali. Resztę wiecie, boście widzieli. Żal mi owego Araba, którego zadusiłem, wskakując na drugiego konia, gdy pierwszy padł. Nie chciałem go udusić, ale sobie zrobić miejsce. Zresztą miał jakąś delikatną gardziel...

Oto jest wszystko. Widzicie, moi panowie, że moja przygoda była bardzo prosta i naturalna. Byłbym się dziwił, gdyby inaczej było przyszło. Jestem gotów przebyć te tarapaty wszystkie jeszcze raz, jeżeliby tego do waszego dobra potrzeba było.

A teraz przestańmy o tem mówić, bo doprawdy nie warto.

— Mój dzielny chłopcze, — rzekł Fergusson, podając mu rękę. — Jeszcze raz ci dziękuję.

— Nie ma za co! — odrzekł Józef.

Podczas gdy Józef przygody swoje opowiadał, przeleciał balon spory kawał w kierunku północnym.

— Lecimy ciągle na północ, — odezwał się Ryszard, — czy to dobrze? Wlecimy znowu na pustynię.

— Mam nadzieję, że choć to nastąpi, nie zginiemy, — odrzekł Fergusson.

Około godziny dziesiątej wieczorem spostrzegli podróżnicy osadę okazałą, niby miasto. Gdy księżyc zeszedł, poznali, że to ruiny miasta. Tu przenocowali.

O godzinie piątej rano ruszyli w dalszą podróż. Wiatr wiał na zachód. Fergusson podsycił płomień w aparacie, aby korzystać z wiatru, który mu był na rękę.

W dniu tym nie zdarzyło się nic, na coby podróżnicy narzekać potrzebowali; wiatr wiał ciągle dobry i równy. Jechali wprawdzie nad pustynią, ale nie obawiali się takiej przygody z wodą, jak mieli dawniej, bo Fergusson dobrze się w wodę zaopatrzył.

Nazajutrz — a była to Niedziela — zmienił się wiatr i począł pędzić balon ku północnemu zachodowi. Józef spostrzegł stado sępów, krążących w oddali.

— Dajcie nam pokój, — rzekł — dosyć nam na pierwszej znajomości z wami.

Przyglądał im się uważnie i z zasępioną twarzą, która się dopiero wypogodziła, gdy sępy znikły w dali.

— Była to doskonała myśl — rzekł do towarzyszów, — że pan zbudował podwójny balon. Gdyby nie to, coby się było z nami stało? Teraz jedziemy sobie, jakby nic nie zaszło; ten balon taki dobry, jak pierwszy, choć nieco mniejszy.

— Niezupełnie, — odpowiedział Fergusson. — Niewiem z jakiego powodu, ale widzę, że siła tego balonu mniejszą jest, aniżeli być powinna. Spostrzegam, że balon się łatwo obniża.

— To niedobrze — zawołał Ryszard. — Czy nie można temu zaradzić?

— Niestety nie widzę żadnego sposobu, — odpowiedział Fergusson, — i dla tego dobrze uczynimy, gdy i nocą polecimy.

— A gdzie właściwie jesteśmy? — zapytał Józef.

Fergusson się uśmiechnął.

— Na to pytanie trudno odpowiedzieć — rzekł. — Tyle tylko zdaje mi się być pewnem, że lecimy w kierunku, w którym miasto Timbuktu leży, a odległość, dzieląca nas od niego, może wynosić z jakie 400 mil (angielskich.)

— Jak długo pojedziemy tamdotąd?

— Jeżeli wiatr pozostanie takim, jakim jest, możemy tam stanąć... może we Wtorek wieczorem.

Wiadomości Fergussona o stanie balonu nie rozweseliły serca towarzyszów. W Poniedziałek nastąpiła zmiana powietrza, zaczęło padać albo raczej lać, jak z cebra. Znajdowali się w okolicy, w której deszcze są bardzo częste i ulewne. Fergusson rozejrzawszy się na swojej karcie, rzekł:

— Powinniśmy niezadługo dolecieć do rzeki Nigru (Czarnej).

Tak się też istotnie stało. Po południu ujrzeli ową wielką rzekę, ale nie było czasu przyjrzeć jej się, bo balon przeleciał bardzo szybko nad nią.

Podczas tej niewesołej jazdy, opowiadał Fergusson towarzyszom o różnych podróżnikach, którzy te strony Afryki zwiedzili. Opowiadając, zważał jednak bardzo pilnie na wiatr i na dobre się zaniepokoił, gdy spostrzegł, że wiatr północno-wschodni wziął górę. W tym kierunku lecąc, oddalał się balon od miasta Timbuktu. Tak lecieli prawie całą noc.

Dopiero nad ranem wiatr się zmienił i to tak korzystnie, że lecieli prosto na Timbuktu, które jest dość dużem i handlowem miastem.

Gdy balon nad miastem przelatywał, powstał ruch na ulicach; biegano, wołano, trąbiono i spoglądano ku górze. Uczeni ludzie w mieście łamali sobie pewnie głowy nad powietrznem zjawiskiem, które nagle znikło, bo wiatr nie pozwolił balonowi zatrzymać się dłużej.

Gdy ulecieli tak daleko, że już z miasta niczego nie widzieli, rzekł Fergusson:

— Teraz niech nas Bóg prowadzi, dokąd chce.

— Choćby do Ameryki przez morze — dodał Józef.

— Nie dojechalibyśmy — odrzekł Fergusson, — bo siła balonu coraz więcej słabieje i trzeba nam gazu oszczędzać, aby dobić do brzegu. Staliśmy się niejako wszyscy cięższymi, aniżeli byliśmy.

— To pochodzi z leniwego życia, które prowadzimy, — odparł Józef. — Człowiek tu nic nie robi, cały dzień leży, więc tyje. Mnie się zdaje, że gdy powrócimy do domu, nikt nas nie pozna, bo tak utyjemy.

— Powoli, powoli, mój Józefie — przerwał mu p. Ryszard, — nie chwal dnia przed wieczorem. Kto wie, co nas jeszcze czeka.

— Masz słuszność, — dorzucił Fergusson, — bo wiatr się jakoś kręcić zaczyna a balon nisko od ziemi się trzyma. Oby tylko wytrzymał jeszcze trochę, jeszcze trochę... W Bogu nadzieja, że nie zginiemy!

Gdy noc nadeszła, uznał Fergusson, że należy ulżyć balonowi przez wyrzucenie nieco balastu. Balon zaraz się wzniósł i pędził całą noc dobrze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Machina do pisania. Jednym z najnowszych wynalazków bieżącego stulecia jest machina do pisania; jest ona pomysłem amerykanina, Maskelyne'a, i jak utrzymują rzeczoznawcy, ma być bardzo praktyczną. Bardzo to sztuczny wynalazek, niejako połączenie klawiatury fortepianu z tłocznią drukarską. Chcąc pisać za pomocą machiny, należy poruszać klawisze, umieszczone na przodzie, z których każdy odciska na papierze, nawiniętym na walcu prasy, stanowiącej tył całości, odpowiednią literę lub znak pisarski. Szybkość takiego pisma zależy od wprawy. Niektórzy twierdzą, że przez wynalazek Maskelyne'a straci druk na znaczeniu, bo pisarze wezmą rozbrat z czcionkami; mniemania te są przesadzone. Machina jeżeli znajdzie zastósowanie praktyczne, to jedynie w stosunkach handlowych, gdzie zależy wiele na wyraźnej, czytelnej korespondencyi.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Sok wiśniowy.** Zupełnie dojrzałe wiśnie bez ogonków kładzie się w wielkie naczynie kamienne, rozciera je dobrze wraz z pestkami drewnianą pałką i pozostawia następnie w takim stanie przez 24 godziny. Potem przeciska się masę przez białe płótno i dodaje na litr przeciekającego soku $2^1/_2$ grama łatwo rozpuszczalnej sacharyny Fahlberga, której w aptece i większych drogeryach dostać można. Nowy ten środek słodzenia jest obecnie bardzo w użyciu przy wyrobach konserwowych, a jest 250 razy słodszy od cukru. Sacharynę należy w soku dobrze rozmięszać łyżką srebrną lub porcelanową. Skoro się w soku zupełnie rozpuściła, napełnia się płynem czysto wymyte flaszki i przykrywa je papierem. Zatykać korkiem nie należy w żadnym razie! Flaszki ustawia się następnie na cały tydzień w miejscu chłodnem i potrząsa niemi przez ten czas silnie raz na dzień. Po upływie tygodnia przepuszcza się sok jeszcze raz przez delikatny płatek, wlewa go znowu we flaszki jeszcze raz dobrze wymyte i siarkowane, zatyka szczelnie korkiem, zalewa smołą i układa je (nie stawia!) w piwnicy. Niektórzy, chcąc nadać sokowi więcej trwałości, po drugiem ściągnieniu na butelki, zakorkowawszy i obwiązawszy flaszki pęcherzyną, wstawiają je na ćwierć godziny w gotującą się wodę.

— **Holenderski sposób czyszczenia masła i zachowania go od zepsucia.** Kładzie się masło do kotła pobielanego i nalewa taką ilością gorącej wody, ażeby takowa miała dwa razy większą wagę od masła; rozniеca pod kotłem wolny ogień dla utrzymania w wodzie ciepła; a gdy się masło rozpuści, miesza masę łyżką, aby się części składowe masła zawierające w sobie jeszcze mleko i ser z wodą nalaną połączyły; — poczem zdejmuje się kocioł z ognia, masę w chłodnem miejscu zastudza, dla oddzielenia wody i dla nadania masłu na wierzch występującemu, należytej tęgości. Gdy to nastąpi, robi się w maśle z brzegu kotła mały otwór, który służy na to, aby przy pochylaniu kotła, woda zupełnie przez ten otwór odeszła.

Odpływająca woda jest koloru bardzo białego, co wskazuje że masło nie jest jeszcze tak czyste jak być powinno, aby się długo zachować mogło, dla tego jeszcze raz tą samą czynność z gorącą wodą się powtarza, która gdy odpłynie, okaże się daleko mniej mleczną niż pierwsza. Mimo tego jednakże, trzeba czyszczenie trzeci a nawet i czwarty raz powtarzać, jeżeliby się jeszcze co mlecznego spostrzegać dawało; dopiero gdy odpływająca woda będzie zupełnie czysta, można być pewnym, że masło nawet na cztery lata od zgorzknięcia zabezpieczone zostało. Lecz do tak długiego utrzymania masła trzeba, aby takowe tak mocno w czystych faskach utłoczone było, ażeby w takowem ani kropla wody się nie znajdowała. Oprócz tego dla niedopuszczenia do fasek powietrza, trzeba je starannie zamykać i w chłodnem lecz nie wilgotnem miejscu utrzymywać.

— **Dębowe meble** czyści się w następujący sposób: Jeżeli są nieczyste, zakurzone lub poplamione, natenczas zmywając grzanem piwem, można je doprowadzić do tego, że wyglądają jak nowe. W razie jednak, że zatraciły już gładkość swą, należy rozgotować kawałek wosku wielkości jaja kurzego wraz z pół tak wielką ilością cukru w dwóch filiżankach piwa, za pomocą miękkiego pędzla meble posmarować, czekać aż oschną, a potem trzeć kawałkiem wełnianej materyi tak długo, aż otrzymają nowy blask.

— **Sposób zabezpieczenia serów od robaków.** Ser przechowuje się w naczyniach drewnianych i przekłada pączkami Dziurawca, czyli ziela Swięto-Jańskiego (Hypericum-perforatum), które oprócz własności zabezpieczenia serów od robaków, nadaje temuż smak wyborny i tłustym go czyni. Pieprz cały, zabezpiecza równie sery od robaków.

Rozmaitości.

* **Chrzest 400 cyganów.** Przed kilkunastu dniami odbyła się w Belewaczu w Serbii niezwykła uroczystość kościelna. Czterystu cyganów bowiem z plemienia Ibrahima Gomilja, którzy dotąd wyznawali wiarę mahometańską, przyjęli wiarę chrześciańską. Ks. biskup Meletij z Zajczaru dopełnił chrztu w otoczeniu licznej asystencyi kapłanów. Kościół otaczało kilka tysięcy ludu. Obrząd trwał kilka godzin i przypominał dawne czasy, kiedy to jeszcze nawróconych pogan chrzcono gromadami. Rodzicami chrzestnemi byli majętniejsi właściciele ziemi z okolicy, kupcy i urzędnicy.

* **Pochodzenie Gladstona.** Nie każdemu zapewne wiadomo, że 83-letni przywódzca angielskich liberałów pochodzi ze starej szkockiej rodziny szlacheckiej. Siedliskiem jej była mała warownia Gledstanes, położona w opactwie Libberton, koło miasta Biggar, w szkockim okręgu Lamarkshire. Przodkowie jego już w zamierzchłej przeszłości osiedli wśród skał Lamarkshiru, albowiem po angielsku »gled« znaczy tyle co »hawk«, sokół, a słowo »stanes« oznacza na skałach niedostępne gniazdo. W najstarszych szkockich zapiskach szlacheckich t. zw. »Ragman Roll«, znajduje się pod r. 1296 wzmianka, że wśród szkockich rycerzy, którzy królowi Anglii, Edwardowi I, składali przysięgę, znajdował się także Herbert de Gledstone. W następnym roku podupadł ród Gledstonów, a w początkach 17 w. musiał swe gniazdo sprzedać, pozostając tylko przy sąsiedniej posiadłości Arthurshiel. Syn ostatniego Gledstona z Arthurshiel osiadł w Biggarze i założył

tam słodownią. Wnuk jego Tomasz, zmienił rodowe swe nazwisko na Gladstone i był handlarzem zboża w Leith, a najstarszy syn jego John Gladstone, ojciec teraźniejszego prezesa ministrów, założył w Liverpolu wielki handel zbożowy. Był on deputowanym do parlamentu i otrzymał godność baroneta. W r. 1851 umarł sir John Gladstone mając laj 78. Edward Gladstone jest trzecim synem z jego małżeństwa z Anną Robertscn, błogosławionego sześciorgiem dzieci. Anna Robertson była córką Provoste Robertsona z Dingwallu, który należy do klanu Donackie, starego celtyckiego rodu szlacheckiego w Szkocyi.

* **Na jedną osobę**. W Brukseli umarł w tych dniach 73 letni dziwak, który przez całe życie jak najstaranniej zapisywał wszelki poniesiony na swą osobę wydatek. Oto są cyfry niektórych jego rozchodów. Od 18 do 73 r. życia wypalił 628,713 cygar, z których 43,692 dostał w upominku, na pozostałe wydał 52,166 fr. W tym samym okresie czasu zużył 85 par spodni za 2,305 fr., 62 pary butów za 1,653 fr., 296 koszul i 326 kołnierzyków za 1,450 franków. W lat 15 wypił 28,786 szklanek piwa bawarskiego, 30,081 kieliszków koniaku oraz innych trunków — razem 27,750 fr. Napiwki wynosiły 5,525 fr.

* **Siła wieloryba**. Pewien profesor medycyny w Ameryce, który się szczegółowo oddaje badaniom wielorybów, daje następne obliczenie ich siły. Wielki wieloryb grenlandzki mający przeciętnie 50 stóp długości, przepływa do 10 mil (angielskich) w godzinie, inny zaś dochodzący do 85 stóp długości, często 12 do 14 mil. Przypuszczając, że wieloryb ma 80 stóp długości, waży 70 ton (po 20 centnarów), a ogon jego jest 20 stóp szeroki (cyfry te stwierdzono u jednego z wielorybów niedawno schwytanych), obrachował profesor, iż ogromny ten zwierz, aby upłynąć 12 mil w godzinie, wywija ogonem siłą 145 koni.

* **Ameryka przed Kolumbem**. Zajmujące szczegóły, dotyczące stosunku Europy z Ameryką, z czasów poprzedzających odkrycie jej przez Kolumba, zawierają badania Napoleona Neya, prezydenta paryskiego »Stowarzyszenia dla geografii handlowej«. Że żeglarze europejscy na długo przed Kolumbem znali Amerykę, dowodzą tego »sagi« (podania) islandzkie, a nadto archeologiczne zabytki Norwegii, Danii, Islandyi, Grenlandyi i samej Ameryki. Już przed tysiącznym rokiem ery naszej zwiedzali Normanowie t. zw. »Vindland«, pobrzeże Massachusset, aż do przylądka Cod, a nawet Floridę. Również stwierdzoną jest rzeczą, iż Normanowie na całem pobrzeżu zachodniem Grenlandyi kolonie zakładali i osady kupieckie; wszystkie one razem tworzyły osobne biskupstwo, lista zaś biskupów, stolicę ową zajmujących, przechowała się do r. 1537. Niektóre ze statków normańskich dotarły aż do Brazylii, zdaje się jednak, iż trudne warunki klimatyczne przeszkodziły osiedlaniu się tamże śmiałych żeglarzy. Wiadomo także, iż pewien kapitan marynarki handlowej z Dieppe wylądował na brzegach Ameryki południowej i odnalazł tu ruiny miasta, prawdopodobnie przez Skandynawów zbudowanego. Dokumenty, odnoszące się do wyprawy tej, przechowywane w archiwum w Dieppe, spłonęły w roku 1694. W zamian za to jest w Waszyngtonie bogaty zbiór dokumentów, stojących w związku z przedkolumbowymi stósunkami Europy z Ameryką. Ney zwie-



Jak mały Franuś oganiał drzymiącego wujka przed muchami i co go za to spotkało?

dział pod Bostonem grobowiec murowany, odkryty w końcu zeszłego wieku, a w którym spoczywał szkielet obok żelaznej rękojeści miecza. Kościotrup należał do człowieka rasy białej; rękojeść miecza pochodziła z Europy z przed XV-go wieku. Ney oglądał również runiczne napisy i rysunki, odnoszące się do przygód, jakich doznawali Skandynawowie w »Vindlandzie«.

Jeden z napisów tych brzmi: »Stu trzydziestu jeden mężów z północy wraz z Thornfinnem krainę tę podbili.« Ciekawym jeszcze jest napis odkryty na pobrzeżu Potomaku. Wyryto go na głazie grobowca, obejmującego zwłoki żony jednego z naczelników normańskich, zabitej strzałą. Napis, także runiczny, opiewa: »Tu spoczywa Syasi, blondynka z Islandyi zachodniej, wdowa po Koldrze, siostra Thoryra po ojcu, żyła lat 25. Bodaj Bóg był dla niej miłosiernym, 1051«. W grobowcu tym znaleziono trzy zęby, kość, która za dotknięciem w proch się rozsypała, rozmaite ozdoby z bronzu i dwie sztuki monet z epoki wschodnio-rzymskiego cesarstwa. Te ostatnie nie były tu zjawiskiem nadzwyczajnem, wiadomo bowiem, iż Normanowie, Duńczycy, Szwedzi i Norwegczycy służyli tłumnie w Konstantynopolu w straży przybocznej cesarskiej.

* **Uniwersytet żydowski.** Przedstawiciele wyższych sfer żydowskich w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, postanowili utworzyć w New-Yorku wyższy zakład naukowy żydowski na pamiątkę 400-letniej rocznicy odkrycia Ameryki i wygnania żydów z Hiszpanii. Kończący kurs nauk w rzeczonym zakładzie będą otrzymywali stopień »doktora judeologii«. Będzie to pierwszy w świecie uniwersytet żydowski.

* **Nie do uwierzenia.** Z Pesztu donoszą do pism wiedeńskich, że tamtejsza fabryka Ganza wystąpi wkrótce do rządu z projektem wybudowania kolei elektrycznej między Wiedniem i Pesztem. Autor projektu, Zipernowsky, miał wynaleść lokomotywę elektryczną, która będzie w stanie przebiedz 250 kilometrów na godzinę, to jest odbyć w ciągu godziny całą, przeszło 36-milową drogę z Pesztu do Wiednia. Byłaby to niesłychana dotychczas szybkość — przeszło 4 kilometry na minutę. Według projektu p. Zipernowskyego, pociąg składałby się z lokomotywy i jednego wagonu, w którym mogłoby się pomieścić czterdziestu pasażerów. Takie pociągi wychodziłyby co dziesięć minut. Motor elektryczny ma mieć siłę 800 koni.

* **Nowy opał.** Londyńskie towarzystwo »Petrole Pionee Corporation« wyrabia do użytku domowego i przemysłowego cegiełki z... nafty. Siła ogrzewająca tego nowego opału jest znacznie większą od siły węgla kamiennego. kosztuje przytem 10% taniej. Parowiec, zabierający zwykle 1000 ton węgla, będzie musiał zabierać tylko 200 ton owych cegiełek. Naftę, po dodaniu pewnej domieszki chemicznej, ogrzewa się do gorącości 260 stopni, przy której mieszanina się zgęszcza, i w stopniu należytym nadaje się jej postać cegiełek.

* **Służalstwo Francuzów wobec Rosyi.** Kijowskie »Słowo« donosi: Kilka tygodni temu, jedna z dam kijowskich, pani M., wyjechała do Francyi wraz ze swoim synem, uczniem gimnazyum. Gimnazyasta jechał w swoim uniformie gimnazyalnym. Jak tylko pani M. minęła granicę francuzką, podróżni zaczęli zwracać uwagę na mundur malca, dowiedziawszy się, że jest on wychowańcem rosyjskiego gimnazyum, częstowali go różnemi łakociami i czynili mu różne grzeczności. Następnie kijowski gimnazyasta stał się przedmiotem takich samych owacyi w Paryżu. Wychowańcy niektórych zakładów naukowych paryzkich wysłali do małego M. deputacyą, która mu wręczyła pudełko cukierków i rosyjską narodową flagę, poczem młodzi przedstawiciele Francyi zaśpiewali rosyjski hymn narodowy.

ŻARTY.

Zauważono, iż dwaj obrońcy stron przeciwnych, jakkolwiek przed kratkami zjadliwie sobie docinali, po wyjściu jednakże z sali sądowej, rozmawiali z sobą przyjaźnie, prowadząc się pod ramię. Na okazane ztąd zdziwienie jeden z nich odrzekł:

— My adwokaci podobni jesteśmy do dwóch połów nożyc, które za poruszeniem sobie nie szkodzą, a to tylko tną, co się pomiędzy nie dostanie.

Szlachta polska na sejmikach uradziła wysłać wojsko na kozaków i postanowiono trzech dowódców, bo dowódzcy dawni byli w niewoli. Pierwszym dowódzcą był książę Ostrogski, spokojny i nielubiący wojny starüszek, drugim Koniecpolski, bardzo młody, prawie dzieciuch, trzecim Ostroróg, człek uczony i prawnik. Ci, co się znali na wojnie, powiedzieli zaraz, że kozaki pobiją, kiedy przewodzi: pierzyna, dziecina i łacina.

Co to może pranie.

Fornal: Psyedem tez doprasać się Wielmoznego Dziedzica, ze chciałbym się zenić...

Pan: Co ci też to potem? a z którąż to, czy z Baśką, czy z Kaśką, czy z Jagną, a może z Maryną, co?

Fornal: Juz tam nie moja tylko Wielmoznego Pana wola, bo ja ino wedle opierunku, to ta syćko jedno.

Mąż (do żony): Moja droga, przyszyj Kaziowi guzik do spodni, bo już od kilku dni chodzi bez guzika.

Żona (po chwili z niezadowoleniem): A który guzik mam przyszyć, bo widzę, że tu dwuch brakuje.

Polecenia godne książki:

Kalendarz „Katolika“ na rok 1893. Kto z ludu katolicko-polskiego kupuje kalendarz, żąda słusznie, aby tenże miał cztery zalety; aby był pełen ducha katolickiego, aby był szczerze polski, aby był zajmujący i aby był praktyczny. Kalendarz »Katolika« ma te cztery zalety, bo mieści artykuły, powieści, wiersze, rozprawy, które przyniosą korzyść duszy czytelnika, rozgrzeją serce polskie, oświecą rozum, rozszerzą wiadomości, zabawią i pouczą. Z praktycznej części kalendarza wymieniamy: »Nową ustawę dla gmin« i »Prawo o szkodach przez zwierzynę,« które każdy rolnik znać powinien, chcąc mieć dobre pojęcie o sprawach gminnych i zawarować się przed szkodą.

Nie potrzeba dodawać, że kalendarz mieści wszelkie wiadomości kalendarskie, jarmarki, różne praktyczne rady i t. p.

Kalendarz jest mniej więcej takiego formatu czyli kształtu, co »Światło.« Jest ozdobiony przeszło 30 pięknymi obrazkami, a nadto w dodatku kolorowym obrazkiem (Wieczerza Pańska) i kalendarzem ściennym.

Kto chce posiadać dobry kalendarz, niech nabędzie kalendarz »Katolika«. Jesteśmy pewni, że będzie kontent.

Cena 50 fen., z przes. 60 fen. Najlepiej przesłać znaczki pocztowe w liście, a kalendarz wyśle odwrotnie *Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu* (Beuthen O.-S.). — Kto weźmie 10 kalendarzy, dostanie 1 egz. w dodatku.

Rozwiązania z Nr. 13 „Światła“.

Rozwiązanie zagadki:

Okolica.

Rozwiązanie logogryfu:

P
ZAN
POWÓZ
WENECYA
ANIOŁOWIE
PIOTRSKARGA
PAWEŁSTALMACH
PRZYJACIELE
LIBELTREJ
GRZMOTY
CHATA
ACH
H
ŁBY
SOS
ŻUŻLE
RAK
DNO
ŚRODA
SŁOWIKI
STANISŁAW
RODZICIELKA
SKALMIERZANKI

Rozwiązanie rebusu:

Bogactwa bez nauki często szczęścia nie przynoszą.

Dobre rozwiązanie **wszystkich zagadek** nadesłali: Fr. Pluszczyk z Rozdzienia, J. Pakosz z Bytomia, J. Kortyka z kol. Jerzego, F. Musialik z Rozbarku, Z. Moczyński z Meppen, M. i T. Baranowscy z Berlina, A. Żmidziński z Michorzewa, Wł. Szałkowski z Kozłowa, K. Graff z Hamer, Fr. Kurzik z Kaliny, St. Moczyński z Nowegomiasta n. W., St. Chłądzyński z Bytomia, T. Materne z Cziasna, J. Kiera z Srokówca, E. Pietruszka z Bytomia, F. Chwiłkowski z Ponieca, J. Kępski z Barcina, Ks. prob. Kinowski z Oporowa, Fr. Kempski z Chełmiec, Ks. Gryglewicz z Grabia, J. Garus z Kryr, St. Hoffmann z Kwilcza, A Machnik z Siemianowic, M. Handau i M. Jany z Sokolnik, Fr. Pakuła z Huty Wilhelminy. T. A. Kraszewska z Kruszyn, M. Rutkowski z Maciejowa, M. Łaszewska z Pogódek, B. Laurentowski z Buku, J. Hupka z Miłonowa, Emil Krzistek z kolonii Fryderyka, Jan Jurciński z Wełnowca, Antoni Świerczyński z N. Dąbrówki, Albin Gros z Łabęd, J. Bomba z Szyrokowa, P. Wituski z Kłecka, Jan Tatkowski w Łące, Alojzy Besler z Borwalcowni, Jan Mrozek z Zabrzega, Karol Zych z Niepołomic, Fr. Nieszwicki z Więcków, Ign. Walkowiak z Buku, Henryk Kucharski z Poznania.

Logogryf rozwiązali: Ig. Dolata z Owińsk, H. Niklewska z Pelpina, J. Smolka z Przyszowic, Fr. Wozipiwo z Załęża, A. Kopiec ze Zabrza, F. Dylla z Szczakowy, P. Niedbała z Chorzowa, A. Nowak z Przytoczni, J. Neumann z Rudy, F. Wilczek z M. Dobrzynia, P. Śmiłowski z Laurahuty, Eman. Wochnik z Bytomia, Jan Pawlas z Krzyżowic, Licznerski z Reszk.

Zagadkę i logogryf rozwiązali: Ks. J. Charłampowicz ze Starzysk, P. Kaudonek z Chropaczowa, A. Brachmański z Biertułtów, P. Kociński ze Świecy, M. Cichowski z Sumina, Jan Kłosek z Katowic, Bern. Reich z Gdańska, Alex. Gojowczyk z Budkowic, Józef Labuda z Kartuz, Wł. Kortański z Kiełczewa, Jan Szusterkiewicz z Ponieca, Lud. Broda z M Dąbrówki, Kasper Tokarz z Rozbarku, Aleks. Ocelok z N. Haiduk, A. Lesiński z Pelplina.

Logogryf i rebus rozwiązał: St. Nowak z Płonkowa, Marya Skowrońska z Chełmia, Józ. Kosmol z Glinic.

Nagrody otrzymali: J. Kortyka, T. Baranowski, A. Żmidziński, W. Szałkowski, T. Materne, J. Kiera, J. Kępski, ks. prob. Kinowski, J. Garus, St. Hoffmann, A. Machnik, Fr. Pakuła, E. Krzistek, A. Świerczyński, A. Gross, J. Tatkowski, J. Mrozek, Fr. Nierzwicki, J. Walkowiak, H. Kucharski.

Nowe zagadki z nagrodami podamy w przyszłym numerze „Światła“.

Odpowiedź redakcyi.

A. B. B. Podręcznik jest broszurowany, ale na życzenie oprawimy.

M. H. S. Prosimy nadesłać; jeżeli będą dobrze ułożone, chętnie umieścimy.

Do Mił. Choć wiec się teraz odbyć mógł, ale się odbędzie.

T.... r K......i w Podgórzu. „Światło“ II rocznik mamy jeszcze 1 egz., kosztuje 5,00 mrk. w ozdobnej oprawie; rocznik III kosztuje w zeszytach 4,00 m., w oprawie zwyczajnej 5,00 m., a w ozdobnej oprawie 6,00 m.

Treść zeszytu 18 „Światła“:

Piotr Włast, palatyn wrocławski. (Ciąg dalszy.) — Podarek wdowi. (Wspomnienie z 1621 roku.) Wiersz Józefa Chmielewskiego. — Matka Boska z Kevelaer. — Klęska skrzydlata. — Nad kraterem wulkanicznym. (Dokończenie). — Podróż balonem (Ciąg dalszy). — Objaśnienia rycin. — **Ryciny:** Matka Boska z Kevelaer. Barykada płócienna, tamująca pochód szarańczy. Mierzenie jajeczek szarańczy, zebranych przez arabów płatnych od ilości. Machina do pisania. — **Dodatek:** Praktyczne rady. — Rozmaitości. — Żarty z ryciną.

Zaproszenie do przedpłaty!

Niniejszy numer jest ostatnim w tem ćwierćroczu, przeto prosimy odnowić przedpłatę na IV ćwierćrocze „Światła“. Nie wszyscy ci, co od N. Roku „Światło“ sobie zapisali, pozostali mu też w drugiem i trzeciem ćwierćroczu wierni. Mamy nadzieję, że wszyscy, którzy do tego czasu „Światło“ abonowali, i nadal abonować je będą. Prosimy też o popieranie i polecanie „Światła“ w kołach znajomych.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.